Jan Wieczorek

Ślub Robociarza

III edycja konkursu
Jelenia Góra i ziemia jeleniogórska we wspomnieniach mieszkańców

Jelenia Góra 2021

Ślub Robociarza

Tuż przed skończeniem zawodówki, a wyuczyłem się w niej na robociarza, do szkoły przyszedł personalny, po to żeby wybrać uczniów do miejscowych zakładów pracy. Uczniowie podnosili ręce, a kupiec skwapliwie notował i opowiadał, że potrzebują spawaczy, tokarzy i pracowników do innego sortu. Mnie jako ślusarza maszynowego zwerbowano do PUKU.

Przedsiębiorstwo Urządzeń Klimatyzacyjnych, to jeszcze nie był ZREMB. Szybko zgłosiłem się na portiernie, złożyłem podanie, biegałem od drzwi do drzwi z obiegówką, jednak najbardziej wzburzyło mnie to, że ten sam personalny, który zachęcał młodzież do entuzjastycznego startu w życie, po pijaku zapodział moje papiery. Konsekwencją tego był pierwszy miesiąc bez zapłaty, plus papierkowa powtórka z rozrywki. Pracować zacząłem od 15 VIII 1954 r. Zrywałem podłogi i układałem rury wszystko pod kuratelą sprytnego grubasa Gabriela Retycha. W tym czasie czułem, że konflikt z majstrem jest nieunikniony, więc jak najszybciej załatwiłem sobie przeniesienie do swojej grupy zawodowej. U ślusarzy rządził Gadach, człowiek u niego wiercił, trasował, nitował, pomagał przy spawaniu, wszystko to było bardziej wciągające niż prymitywne zrywanie podłogi.

Jeśli chodzi o finanse już na samym początku komisja zakładowa dała mi czwartą grupę, czego nie mogli ścierpieć inni pracownicy, którzy zwracali się do mnie z pretensjami, jakbym, to ja przydzielał grupy i wakaty. Po kilku dniach miałem rozmowę z przełożonym. Kierownik tłumaczył: – *Panie Ryśku, ludzie mają rodziny, żony, są w zakładzie od pięciu lat, niech sam pan powie czy, to jest sprawiedliwe, żeby kawaler, miał lepiej od żonatego?* Największy rejwach robił Tacykowski. Co ciekawe jemu nie trzeba było pieniędzy, ani na dzieci czy żonę, tylko na większą miłość, czyli wódkę, którą litrami wlewał w siebie w robocie. Słowem, za sprawą tych wszystkich protestów, odebrano mi tą uprzywilejowaną grupę, tyle, że nie na długo. Złożyło się tak, że cała brygada otrzymała skomplikowaną robotę, w której trzeba było się wykazać: zrobić wirnik, wytrasować cyrklem odpowiednią siatkę, wyciąć precyzyjnie koło z blachy... . Czas naglił, Tacykowski, ani żaden z pozostałych cwaniaków, co to mi grupy zazdrościli, dobrze wiedzieli jak w kiblu puścić pawia, ale podstawowych prawideł geometrii zwyczajnie nie znali. Wirniki miały różną ilość łopatek, całość trzeba było podzielić i symetrycznie poukładać. Śmiesznie to wyglądało, gdy fachowcy z PUKU chwytali cyrkiel w ręce i bezradnie jak dzieci, na oko, przykładali go do blachy, naiwnie licząc, że, a nuż uda się wykonać zadanie. W tym całym przedsięwzięciu należało jeszcze wyciągnąć promień wygięcia łopatek, a to już był gwóźdź do trumny dla moich starszych kolegów. To, co mi zabrali, wróciło. Inżynierowie z PUKU byli pod wrażeniem, zorganizowali szybko komisję, na której sprawdzono moją znajomość rysunku technicznego, pytali też o parametry techniczne w procesie nawęglania metali. Miałem osiemnaście lat i dwie grupy w przód, tylko dzięki temu, że pasjonowałem się matematyką.

W PUKU było mnóstwo pijaków i mieli oni swoje utarte tradycją zwyczaje. Przykładowo, taki obyczaj, że pierwsza wypłata musi być do końca przepita, że nie może nic z niej zostać, nawet na jedzenie. Naprawdę, mało kto się tam zapalał do uczciwej pracy. W pięćdziesiątym szóstym cały ten bajzel przeorganizowano w ZREMB. Przedsiębiorstwo Urządzeń Klimatyzacyjnych przeniosło się w kieleckie, do miejscowości Końskie. Perswadowano mi kontrakt z tym zakładem, ale stanowczo odrzuciłem te swaty, trzeba było w domu pomóc, a nie szlajać się po Polsce, w czasie gdy ojciec chlał i rodzina miała poważne kłopoty.

Po tym jak PUK wywieziono w kieleckie, zmieniono profil produkcji: kupowano nowe maszyny, inwestowano w załogę, w szkolenia; miałem też zaszczyt być w Katowicach na delegacji, w krótkim zdaniu: – *bo cię ciepna, bo pierdolna*. I dalej życie szło: były już piece, skrzynki do nawęglania, wanna z wodą i olejem, powoli zaczęła ruszać hartownia. Obsługa tego działu przypadła mi, Bronkowi i Macharzewskiemu, facetowi, któremu nigdy nic się nie podobało. Hartowaliśmy śruby, sworznie, ogniwa; czasem zdarzało się nawęglanie stali. Tłukło się węgiel jak do grilla. Tyraliśmy na akord i cali byliśmy w sadzy. Pieniądze były niczego sobie, ale bieda i tak zaglądała w oczy. W temperaturze tysiąca stopni w piecu zachodziła dyfuzja, produkt był w środku miękki, a na zewnątrz twardy. Identycznie jak w lekturze, obowiązkowej z okresu zawodówki, musieliśmy wiedzieć Jak Paweł Korczagin *Hartował Stal*.

W czasie, kiedy Gomółka obejmował władzę, zostałem wcielony do wojska. Służbę pełniłem na lotniskach w Dęblinie, Zegrzu Pomorskim i w Bydgoszczy. Przełożeni chcieli, abym latał na Migach, ale człowiek się tego bał, za często bywaliśmy na pogrzebach pilotów. Zamiast bohaterskiego kamikaze wybrałem służbę w meteo. W krótkim czasie nauczyłem się odróżniać chmury i wykonywać cały szereg czynności związanych z meteorologią, łącznie z puszczaniem balona w powietrze. Żarcie w wojsku było na czas, gdy zaczynałem służbę ważyłem sześćdziesiąt trzy kilo, gdy ją kończyłem miałem ich osiemdziesiąt. Z militarnych atrakcji pamiętam jak nosiliśmy zapałkę na kocu, meldowaliśmy się do słupa; śni mi się też czasem sala na której spało osiemdziesięciu pobratymców z okropnie śmierdzącymi syrami.

Mój ojciec w tym czasie pracował w cegielni, a matka zajmowała się domem. Ballady i romanse w mundurku, to nie było moje powołanie, chciałem jak najprędzej wyjść z wojska i przestać marnować życie.

W domu nigdy nie było specjalnie, dlatego, że ojciec był alkoholikiem. W amoku przykładowo rzucał meblami czy wszystkim, co miał pod ręką, bywało, że ganiał nawet z siekierą. Straszył i odgrażał się, że jak będziemy spać, to gardła nam popodrzyna. Pozorował samobójstwa, topił się cyklicznie, podcinał żyletką, wieszał na krawacie. Pił też czerwoną farbę, którą później rzygał, a wszystko to po to, żeby stale koncentrować na sobie uwagę. Ojciec był marudą, człowiekiem, który za nic nie chciał się leczyć. Tego wszystkiego było już tak dużo, że nieźle wiedziałem, że muszę szukać własnej drogi życiowej, żony i chałupy.

Po służbie zasadniczej w robocie wróciłem na funkcje hartowacza. W zakładzie natrafiłem na kilka innowacji. Zamontowano suwnicę, żeby nie dźwigać największych ciężarów. Ustawiono nowe piece, w tym piec indukcyjny na wysokie częstotliwości i promieniowane. Zorganizowano stołówkę i magazyn, który nowo zatrudnionym wydawał ciuchy robocze i środki czystości; aż dziw bierze, że wcześniej nikt o tej równości klasowej nie pomyślał. To się zmieniło, lecz były sprawy constans niezmienne czyli te całe imprezy, sikania za tokarki, libacje alkoholowe z okazji urodzin, imienin, dnia kobiet, „dziadka i babci". Gdy ktoś chciał się napić składał zamówienie u kierowcy, który na zakład dostarczał trunki pod siedzeniem albo sam biegł do najbliższego sklepu zwyczajnie przez płotki. Po kilku godzinach libacji, sportowcy lub solenizanci, kończyli zawody głęboką drzemką na styropianie lub za maszyną.
W konspiracji przed kierownictwem ufundowano też kapliczkę. Na modlitwę pątnicy pielgrzymowali w kierunku szafek narzędziowych. W jednej z nich, nie zawsze w tej samej, to zależy, kto stawiał, znajdowała się Święta Wódeczność! Delikwent w pojedynkę udawał się w kierunku strefy sacrum, uważnie rozglądając się czy nie ma żadnego zagrożenia. Gdy wszystko było w porządku dopadał wrót kapliczki. Drzwiczki zawsze były lekko uchylone. Spragniony wody żywota klękał na jedno kolano; to bardzo ważny szczegół, bo patent ten zapewniał szybkie zerwanie się do ucieczki, kolejno sięgał po butelkę, napełniał stu gramami kieliszek, jeszcze raz się rozglądał, po czym gwałtownie odchylał głowę w tył i łykał zdrowaśkę! Zagrycha, czyli mortadela lub kiełbasa śląska, była wyłożona w bocznej półce na *Trybunie Ludu*.

Tyraliśmy na trzy zmiany, nocki były straszne, ludzie żyli jak wilkołaki czy wampiry, więc bardzo trudno było zebrać się w sobie i zapoznać jakąś stateczną dziewczynę, bo na dąsy i kaprysy styrany człowiek nie miał wiele cierpliwości i ochoty. Umawiasz się na randkę, panna mówi, że owszem przyjdzie, ale nie przychodzi, a ty stoisz jak głupek i czekasz jak nie wiadomo na kogo, albo inaczej, można się umówić, i to z koleżanką z pracy, która jednak ma taką opinię, że brnąć z nią w związek, oznacza być na ustach całego Zrembu, Narzędziówki i Celwiskozy.

Najłatwiej było poznać dziewczynę przez znajomych i tak było ze mną. Kolega blacharz, z którym od lat pracowałem, zaprosił mnie na imprezę w domu swojej teściowej. Przyjąłem to zaproszenie i dzięki temu poznałem siostrę jego żony, Teresę, która mieszkała tam z nimi wszystkimi na kupie, a pracowała jako fryzjerką w teatrze. Atmosfera tego spotkania była pozytywna, człowiek sobie porozmawiał, wypił co nieco, pojadł i chyba zrobił wrażenie. Jako syn alkoholika nie miałem dobrej opinii, to zmniejszało moje szanse, zwłaszcza, że o Teresę starał się jakiś inny facet, więc z marsza byłem na straconej pozycji. Teresa szybko zaczęła zbierać informacje na temat mojej rodziny, a u mnie w domu była patologia. Matka była tak zdesperowana, że wybrała się do specjalisty od uzależnień, aby wysłać ojca na przymusowy odwyk. Lekarz nie zgodził się, aby ojca wysłać do zakładu, ale polecił zastosować skrytą kurację i wypisał stosowne lekarstwa. Przez półtora tygodnia ojciec po kryjomu miał

aplikowany Antabus. Matka wsypywała mu proszki do posiłków i herbaty. Ojciec narzekał, a jego koledzy nie mogli nadziwić się, że Bolek walnie jednego kieliszka i zaraz leci z nóg. W końcu ojciec domyślił się wszystkiego, zrobił potężną awanturę i zastrajkował w proteście odstawiając domowe jedzenie.

W tym czasie z Teresą nie spotkałem się ani razu, miłostki nie były mi w głowie, biłem się raczej z zagadnieniem w jaki sposób pomóc matce w jej beznadziejnej sytuacji. Okazało się, że Tereska przez cały czas miała ochotę spotkać się ze mną, ale z powodu, że tak długo się nie odzywałem, ubzdurała sobie, że jestem obrażony. Równolegle w tym czasie wyjaśniły się inne sprawy, mój konkurent o względy narzeczonej okazał się babiarzem, bo równolegle próbował zwabić kilka kobiet. Teresa była nim rozczarowana, stwierdziła, że woli poszukać innego mężczyzny, niż modela, który główkuje jak tu rozkręcić sobie harem. I tak krok, po kroku zadurzyłem się w Teresie, to było wyjątkowe, że ktoś nagle mi zaufał, ktoś kto mi się podobał, miał charakter i chciał budować ze mną przyszłość.

Po tym całym incydencie z konkurentem, Teresa nabrała kobiecej rozwagi, była tak ostrożna, że po poważniejszej rozmowie ze mną od razu postawiła mi ultimatum, że jeśli w najbliższym czasie nie załatwię ślubu, to ona uzna, że szkoda czasu na tą naszą znajomość, bo zwłoka oznacza, to że jej nie kocham. Poza tym Teresa, jak wszystkie kobiety garnęła się do tańca, uwielbiała przesiadywać w kawiarniach, mieć styczność z kulturą, chciała żebym i ja to polubił, ale ja bardziej wolałem wycieczki, na których ona dość szybko się męczyła.

Moja przyszła teściowa nie uważała mnie za dobrą partię, bez emocji przyjęła do wiadomości, że mamy się ku sobie. Jadwidze marzył się zięć inżynier, a nie prosty robociarz, tyrający na podrzędnym stanowisku pracy. Byliśmy bardzo młodzi, Teresa miała dwadzieścia lat, ja dwadzieścia trzy, lecz mimo to byłem już w stanie zapewnić sobie i jej finansową niezależność. Czas ultimatum upływał, nie chciałem strącić okazji, przełamałem się w sobie i oświadczyłem się w dwa dni przed upływem terminu jaki miałem postawiony. Moja oferta została przyjęta i zaraz potem oficjalnie zaprezentowałem swoją dziewczynę, już jako narzeczoną przed swoją rodziną. Teresa w tym czasie zafarbowała włosy na czarno. Mojej mamie to nie przeszkadzało, ale ojciec próbował drwić, że wybrałem sobie pannę z włosami jak smoła, zgasiłem go bardzo szybko, nikt mu nie dał prawa wtrącania się do mojego życia. Mama i rodzeństwo byli zadowoleni, wyrządzili nam przyjęcie jak najlepiej mogli. Jednak najciekawsze wydarzenia miały się dopiero wydarzyć, tuż przed samym ślubem i znowu za sprawą mojego nieprzewidywalnego taty.

Przez okres narzeczeństwa często chodziliśmy potańczyć, a to w jakimś klubie, a to na placu lub nawet w knajpie do tego przeznaczonej. Mi te podrygiwania były obojętne, ale Teresce przynosiły bardzo dużo radości, a to już nie było dla mnie obojętne. Na takie imprezy chodziliśmy również i w większym towarzystwie, chciałem, żeby Teresa zintegrowała się z moją rodziną, znajomymi i kolegami. Najczęściej większą grupą chodziliśmy do Mordowni,

to było bardzo popularne miejsce, gdzie można było potańczyć, wychylić kielicha. Przychodzili tam niemal wszyscy moi koledzy z zakładu, zaglądał też mój ojciec i starszy brat. Jak tak rozważyć, to pół miasta się tam przewinęło. Każdy chciał odpocząć, móc się rozerwać, zabawić. I właśnie z takiej potańcówki integracyjnej w Mordowni wróciliśmy o czwartej nad ranem. Gdy dotarliśmy do domu, ojciec z Andrzejem byli niewypici i nie mogli zagrzać miejsca. Moja narzeczona była bardzo głodna więc zjadła lekki poczęstunek. Jej szwagier Bronek siedział w stanie nieprzysiadalnym, jakby był niedopity, słowem był bardzo osowiały. Dom moich rodziców był dość obszerny i gdyby nie fakt, że ojciec był alkoholikiem można byłoby w nim częściej przyjmować gości, tak jak u normalnych ludzi. Bronek siedział otępiały, był zły na swoją żonę Wandę, bo ta, gdy jeszcze bawiliśmy się w klubokawiarni, była obtańcowywana przez różnych żigolaków. Gniew Bronisława narastał. I tak nie zważając na to, że jest w gościach Bronek najpierw zaczął wyzywać, a potem okładać po twarzy swoją żonę. Nie wyglądało to najlepiej, zwłaszcza, że mój ojciec, którego nigdy nie podejrzewałem o taką szarmanckość, zerwał się od stołu i głośnym krzykiem oświadczył: – *Wypierdalać! W tym domu nie ma gościny dla babskich bokserów!* Ze zdziwieniem spojrzałem na swojego brata, bo wespół z nim niejednokrotnie ratowaliśmy matkę z równie przykrych sytuacji. Bronek wykrzyczał: – *Nie będziesz mi dyktować, co mam robić z moją żoną!* Jeszcze przez jakiś czas pohukiwali wzajemnie na siebie, a potem rzucili się ku sobie i zaczęła się szamotanina i inwektywy. – *Puść, bo ci przypierdolę! Spierdalaj!* To było dziwne, mój przyszły szwagier dusił krawatem, w moim domu, mojego ojca, a na to wszystko patrzyła cała moja rodzina i moja przyszła żona. Ojciec był zawsze nieobliczalny. Bronisław tego nie mógł wiedzieć, bo przecież mu o tym nie wspominałem, dlatego był zaskoczony, kiedy to jego rywal wyciągnął z kieszeni śrubokręt i zaczął nim gwałtownie dźgać po jego całym ciele. Andrzej widząc co się świeci, najpierw rozdzielił obu napastników precyzyjnym zderzeniem, a następnie porozrzucał ich jak bety po kątach. Jęczeli w nich i prychali na siebie, ale mój brat czuwał, żeby znowu się nie zwarli jak wściekłe psy. Ponieważ Bronek mocno krwawił, moja siostra musiała go opatrzyć. Zaraz pobiegła po miednicę, obmyła go z sączącej się krwi, a na rany ponaklejała plastry. W tym czasie ojciec siedział na krześle spokojnie pijąc herbatę! Na nowo zaczął odgrywać dżentelmena, najpierw przeprosił Wandę, a potem zwrócił się do Bronka: – *Szurałeś, szurałeś i bardzo głupio wyszło, wybacz, ale tej sprawy nie można było załatwić inaczej!* Moja siostra Irena nieustannie krzątała się przy Bronisławie. Wyprała, mu ciuchy, uprasowała krawat i koszulę.

Wstyd mi było przed Teresą z powodu tego całego zajścia i z powodu tego, że w Mordowni było bezpieczniej niż u mnie w domu. Na drugi dzień miałem też pójść do roboty, gdzie na Bronka byłem skazany, bo pracowaliśmy w jednej brygadzie, sytuacja była skomplikowana. Jak tu brać ślub w takim stanie rzeczy?

Teresa stwierdziła, że tak pechowo się wydarzenia potoczyły, że nie mam obowiązku za nią się wydawać. Tak jak ja wstydziłem się ojca, tak jej było wstyd za szwagra. Byłem cały w nerwach, bo tyle się nabiegałem po urzędach i na samą myśl narastał we mnie sprzeciw, że

mimo wszystko poddać się tak łatwo nie można. Wielka szkoda byłoby z tego ślubu, ot tak sobie zrezygnować. Powiedziałem Teresie, żeby zapomniała o tym wszystkim co się stało, że najlepszym wyjściem z tej patowej sytuacji jest poinformować swoje rodziny, że kupujemy ciuchy, żarcie, obrączki i w listopadzie bierzemy ślub! W odpowiedzi od Teresy usłyszałem potwierdzenie. Poczułem się jak mężczyzna, kreujący swoją własną rzeczywistość. Wszystko było jasne, chodziliśmy ze sobą już trzy miesiące, to aż nazbyt długo, aby dalej zwlekać.

Dzień ślubu przypadł w sobotę, 28 XI 1959 r. Był prawie grudzień, ale pogodę mieliśmy piękną, mocne ostre słońce… . Po obrączki z tombaku pobiegłem do jubilera, na złoto nie było nas stać. Do ślubu szedłem jak należy, w garniturze pod krawatem. Tereska pracowała w teatrze, więc umiała się wyszykować. Za świadków mięliśmy Bronka i Wandę, czyli osoby, które nas zeswatały. Ceremonia była w roboczą sobotę, o 10:00 rano, dlatego wszystko odbyło się bez rozgłosu i kameralnie, bo większość zaproszonych gości była w robocie. Łącznie ceremonia kosztowała nas czterdzieści złotych, tj. mniej więcej, równowartość trzech tanich win. Mendelssohna nam nie zagrali, bo nie mieli na stanie. Po powrocie do domu przeprowadziłem się do mieszkania Teresy z trzema neseserami ulubionych książek, czym wzbudziłem konsternacje u teściowej, która widziała we mnie jedynie robotnika. Ugotowaliśmy pierwszy obiad. Moja świeżo poślubiona małżonka pokroiła ciasto i przyszykowała inne frykasy. Po robocie zaczęła się schodzić najbliższa rodzina i bliscy znajomi. Impreza nabierała na sile, do godziny pierwszej w nocy bardzo szczęśliwi, tańczyliśmy w holu korytarza przy muzyce z adaptera.

Nasz związek trwał trzydzieści dziewięć lat, w tym czasie Teresa urodziła mi trójkę dzieci, a ja kochałem ją aż do jej śmierci.

Jan S.Wieczorek
Na podstawie relacji swojego taty – Ryszarda Wieczorka (1936-2015)